

A Ifabet bałkański 2010

Właśnie wróciłem ze swojego piętnastego kilkunastodniowego wyjazdu na Bałkany. Jak zwykle zmęczony, niewyspany, brudny, psychicznie, duchowo i fizycznie rozregulowany. Zrozumiałem, że przez tych piętnaście lat Bałkany zwodziły mnie, poniewierały, upokarzały moją dumę człowieka należącego, bądź co bądź, do cywilizacji Zachodu. Z drugiej strony jednocześnie fascynowały, zamraczały i obiecywały. Bałkany były, są i pewnie pozostaną dla mnie czymś wyjątkowo niedookreślonym, rozchwianym, czymś, co jednocześnie wydaje się być superkonkretne (zwłaszcza jeśli patrzymy na nie przez pryzmat licznych stereotypów), a w rzeczywistości stanowi mgławicę faktów i urojeń, wydarzeń i niezdarzeń. Bałkany są bez wątpienia przestrzenią kulturową i duchową, w której znajdziemy wielkie bogactwo znaczeń i symboli. Są przestrzenią, która żyje prawie wyłącznie historią i to historią specyficznie rozumianą. Wszyscy są tu po uszy zanurzeni w różnych, nierzadko historycznych interpretacjach własnych historii narodowych. Bałkany to obszar głębokich, czasem nieuświadomianych i z zasady nieleczonych lęków, urazów i fobii. To kraina świętego cierpienia w oparach nikotynowego dymu i pieczonej baraniny. Bałkany to ojczyzna starych ludzi, którzy nie wstydzą się swojej starości, a wręcz przeciwnie – obnoszą się nią. Są oni jak suszące się na słońcu papryki i inne warzywa – tak często spotykany widok od Węgier po Grecję. Wiele można jeszcze powiedzieć o Bałkanach przywołując ich charakterystyczne rysy. Postanowiłem zebrać zatem wszystkie swoje obserwacje z ostatnich kilkunastu lat i zaprezentować je w postaci „Bałkańskiego alfabetu”, który zwalnia mnie z postulatu zachowania logiki miejsca i czasu zdarzeń, a jednocześnie umożliwia uwypuklenie tego, co uznaję za najbardziej charakterystyczne na Bałkanach. Subiektywizm, często w skrajnej postaci, z pogranicza socjologicznej obserwacji i zwyczajnych urojeń oraz przywidzeń, jest czymś, z czego nie potrafię i nie chcę się uwolnić. W moim bowiem przekonaniu, Bałkany obiektywnie nie istnieją, są przez nas nieustannie na nowo stwarzane, reinterpretowane, demonizowane i odczarowywane. Każdy widzi w nich coś innego i to wydaje mi się szczególnie atrakcyjne. To tylko pewien szkic, wersja robocza, płątanina słów, kolaż smaków i zapachów jak perfumy paryskie z Demir Kapija.

Chusty w mercedesach. Przejście graniczne bułgarsko-serbskie. Samo południe. Sznur samochodów. Większość na niemieckich i austriackich „blachach”. W mercedesach faceci ubrani na czarno, w długich spodniach i kobiety w chustach. Całe rodziny, klany, rody, plemiona. Jadą na podbój Europy Za-

chodniej, jej dobrobytu i złudnej stabilizacji. Jadą domagać się pozwolenia na budowę kolejnego meczetu, usunięcia krzyża z sali lekcyjnej, stosowania szariatu w obrębie swojej lokalnej wspólnoty. Jadą zwycięzać, wioząc ze sobą najbardziej skuteczną broń – swoje kobiety. Ciche, spokojne, nie domagające się równouprawnienia, pokorne. To ich działa przeciwko zachodniej cywilizacji. Ich łona zrodzą setki tysięcy, miliony nowych Europejczyków, którzy nazwę Europa zapisywać będą po turecku lub arabsku. Kilkanaście wieków temu barbarzyńcy wpadali do Europy na małych konikach, odziani w zwierzęce skóry. Nie brali ze sobą kobiet, bo zdobywali siłą miejscowe, które im rodziły małych wojowników. Teraz nadjeżdżają mercedesami, z klimatyzacją, z własnymi kobietami. W tym samym czasie w Europie usuwa się krzyże w imię praw człowieka, dyskutuje o możliwościach adaptacji muzulmanów do kultury europejskiej. Europejczycy dochodzą do wniosku, że nie mają wspólnej tożsamości. Nic to. Nadchodzą barbarzyńcy, bicz Boży. Niech napierają!

Czas. Na Bałkanach czas nie ma zbyt dużego znaczenia. Jego upływ jest powszechnie ignorowany. Stwierdzenia typu „zrobić coś na czas”, „pospieszyć się”, „spóźnienie”, „czas to pieniądz” są powszechnie niezrozumiałe, a nawet śmieszne. W ogóle zajmowanie się czasem nie ma większego sensu. Można odnieść wrażenie, że rzeczywistość bałkańska jest obokczasowa. Czas sobie płynie obok jak rzeka w Pirocie (Serbia), a rzeczywistość i tak ma swoją wewnętrzną dynamikę, choć słowo „dynamika” nie jest tutaj zbyt fortunne. Mowa bowiem o permanentnej implozji, o zapadaniu się w siebie, o niekończącym się i bezbrzeżnym procesie zanikania i rozpadu materii. Czas jest, owszem, jakoś tam odmierzany, ale niechętnie. Zegary w miejscach publicznych nie są częstym widokiem, a jeśli już są, zazwyczaj nie działają manifestując ostentacyjny brak zainteresowania tzw. upływem czasu. Nie działają od zakończenia wojny światowej lub z braku prądu. Nie ważne. I nie chodzi tutaj o to, że czas na Bałkanach zatrzymał się. Nic podobnego. On czasem przyspiesza w niewiarygodny sposób. Tyle tylko, że owo przyspieszenie widoczne jest tylko z pozycji zewnętrznego obserwatora, bo w bałkańskiej monadzie jest ono całkowicie ignorowane. O wiele lepszym miernikiem czasu od zegarka jest na Bałkanach miarowo wypijana kawa lub piwo. Piwo, w zależności od miejsca wypija się w 2 minuty lub godzinę i 2 minuty. Im dalej na południe, tym dłużej się je pije. Poniekąd tylko wynika to z zasobności miejscowych portfeli. I tak, w knajpie w Szeged (Węgry) oddalonej jakieś 500 metrów od dworca kolejowego człowiek od trzech wątrobach i dwóch żołądkach piwa wypijał miarowo przez dwie minuty w odstępie 35 sekund. Do tego twierdził, że jest z zawodu kierowcą. Na dworcu w Sandanskim (Bułgaria), kilku zasuszonych facetów piło piwo mniej więcej przez godzinę. W tym czasie w ówczesnym upale, piwo osiągało granicę wrzenia.

Czy jeszcze kiedyś pojedę na Bałkany? Oczywiście, że nie, ale na pewno zmienię zdanie. Znajdę 100 powodów, żeby już tam nie jechać, ale i tak ten 101. za wyjazdem będzie bardziej przekonujący. Nie wiem dlaczego tak jest, mogę tylko dywagować. Stać mnie tylko na prostą tautologię: Bałkany to Bałkany!

Demir Kapija i Bosna klanac. Na Bałkanach są dwie takie miejscowości, z których jedna istnieje realnie, choć wydaje się jakby nie istniała, a druga nie istnieje realnie, a wydaje się, że istnieje. Pierwsza to Demir Kapija, miejscowość w południowej Macedonii. To miejsce, które zarekomendował nam ktoś, kiedy byliśmy już wszyscy kompletnie pijani i nie wiedzieliśmy dokąd jechać z tego centrum macedońskiej prowincji, jaką jest (Titov) Veles. Podobno był tam jakiś urokliwy kanion, którego w zasadzie nie zdążyliśmy zobaczyć. Demir Kapija to miejscowość składająca się z: dworca kolejowego, na którym jest archaiczny komputer wielkości szafy pamiętający czasy komunistycznej Jugosławii, kilka sklepów z byle czym, kilka kafejek ze starymi facetami w kapeluszach, szkoła, market z żywnością oraz

perfumami prosto z Paryża (tak przynajmniej, twierdziła sprzedawczyni, sprzedając mi 50 ml świetnych zachodnich zapachów za 3 złote i 34 grosze; znając prostolinijność ludzi z Bałkanów nie śmiem w to wątpić), dwie dyskoteki obok siebie i dziurawe boisko do gry w coś tam. Myśmy wybrali na nocleg boisko do gry w coś tam położone centralnie między dwiema dyskotekami. Efekt tego wyboru był łatwy do przewidzenia i do tej pory Demir Kapija kojarzy mi się przez półsen jako miejscowość, która pojawia się na mapie Bałkanów tylko raz na jakiś czas, by uświadomić zwiedzającym ją, że tak naprawdę ona nie istnieje. Z kolei Bosna klanac to miejsce w Bośni, którego nie ma realnie, przynajmniej tak twierdzą pracownicy stacji benzynowej w okolicy. Na mapie jest, i to na czerwono, a miejscowi twierdzą, że nie ma. Nie ma i nie było. Nikt nic nie wie.

Dworce kolejowe. Na Bałkanach dworce kolejowe obok prozaicznej funkcji związanej z obsługą ruchu podróźnych spełniają szereg innych zadań. Są przede wszystkim dowodem na to, że dana miejscowość nie stanowi jakieś monady zawieszanej w próżni, ale że jest komunikacyjnie powiązana z resztą świata. I tak malutki Aleksinac powiązany jest z większym Nišem, a Niš z Belgradem. Z kolei Belgrad jest stolicą i jako stolica jest połączony komunikacyjnie z innymi stolicami europejskimi. I nawet z Chinami! A wszystko to za sprawą kolei żelaznych! I tak, wszyscy są w Europie, i na świecie! Dworce kolejowe są miejscem spotkań. Pije się na nich kawę w malutkich filiżaneczkach i piwo sprzedawane w dworcowych barach. Dworce kolejowe są na ogół zadbane, a jeśli coś się rozlatuje i nie ma pieniędzy na remont, zawsze jest zamalowywane farbą o jakimś fantastycznym kolorze, który ma za zadanie odwrócić uwagę od postępującego procesu rozpadu. Czasem także w danym miejscu nakleja się plakaty z różnego rodzaju informacjami, najczęściej opatrzone wieloma pieczęciami i podpisami, co sprawia, że stają się one szczególnie ważne i szczególnie groźne. Na bałkańskich dworcach kolejowych jest sporo starych ludzi, spokojnie czekających na swój pociąg, albo na śmierć. Z tobołami obowiązkowo powiązanymi sznurkami i gumkami. Z biletem w ręku wygniecionym do granic nieczytelności.

Etnoprocenty. Na Bałkanach stanowią one jedną z najważniejszych kwestii politycznych i temat codziennych rozmów zwykłych ludzi. Proporcje między poszczególnymi grupami etnicznymi zamieszkującymi dane terytorium stanowią przy tym przedmiot licznych kontrowersji, często także zwykłych awantur i mordobić. Jeśli wziąć pod uwagę wyjątkową niechęć do spisów powszechnych, poruszamy się w sferze czystych spekulacji, gdzie wróżenie z fusów lub obserwacja dna kieliszka po wypitej *rakii* uznawane są za uprawnioną i najbardziej obiektywną metodę badań statystycznych. Jest rzeczą oczywistą, że zawyża się udział procentowy własnej grupy, a zaniża obcej bądź obcych (jeśli jest ich więcej, jak na przykład w Wojwodinie zamieszkałej przedstawicieli przez ok. 30 narodowości). Podawane przez naszych rozmówców dane procentowe bazują na tak solidnych fundamentach i narzędziach analitycznych jak: „głębokie przekonanie”, „to jest oczywiste dla wszystkich, którzy tu mieszkają”, „nie ma absolutnie żadnej wątpliwości, że tak właśnie jest”. Wielu ludzi na Bałkanach to chodzące statystyki (przechowujące w swoich głowach dane statystyczne do 20 terabajtów pojemności) i to nie tylko aktualne, ale także i te sprzed dziesiątków lat. Nie zdziwiła nas zatem rozmowa z jednym mężczyzną w wieku ok. 50 lat w Bugojevie (Wojwodna – Serbia), który „z czapki” recytował skład etniczny wszystkich okolicznych wiosek w ujęciu współczesnym i historycznym, sięgając okresu sprzed I wojny światowej, II wojny i prawdopodobnej III wojny światowej. Wszystkie te dane procentowe wyrzucał z siebie w błyskawicznym tempie w języku niemieckim, co sprawiało, że nabierały one przez to waloru precyzji. W pewnym momencie można było odnieść wrażenie, że facet zapada się we własnych opowieściach etnoprocentowych i kolejne zdania wypowiedane są siłą rozpędu, trochę bezemocjonalnie, jak młynkowa modlitwa mnichów tybetańskich. Po prostu facet wrzuca nagrany ileś lat temu płytę,

idzie do jeziora się wykąpać, a w tym czasie „turyści” słuchają z plejbeku etnoprocentowej opowieści. Rozmowa o etnoprocentach jest szczególnie niebezpieczna w Bośni i Macedonii. Wszelka nieostrożność może zakończyć się tutaj awanturą. W Bośni Muzułmanie (Boszniacy) zbliżają się do magicznego progu 50% i stają na głowie, żeby przekonać światową opinię publiczną, że stali się oto narodem dominującym w kraju zamieszkanym przez dwie (coraz mniej liczne) mniejszości narodowe: serbską i chorwacką. Wojna zakończyła się w 1995 roku, ale to tylko pozory. Z ulic i zaułków przeniesiono ją po prostu w inne miejsce – do sypialni. Prawdziwym polem walki są teraz kobiece łona i to one zdecydują o przyszłości państwa bośniackiego, o jego ustroju politycznym, o wolności religijnej itd. W Holandii, Niemczech, Francji i innych upadających nieuchronnie państwach Zachodu liberałowie chcą Dyskusji z muzułmanami na temat zasad współistnienia. Problem w tym, że oni w tym czasie wolą intymne dyskusje w swoich alkowach. W tym czasie ich rozmówcy drżą na myśl o poczętym dziecku... Takie są realia... W Macedonii w wielu miejscach można ujrzyć żółto-czerwoną naklejkę z hasłem „Sekoј треба да има три деца” (Każdy powinien mieć trójkę dzieci). Nikt tak naprawdę nie wie, jaki procent stanowią Albańczycy w tym kraju. Macedończycy twierdzą, że 20-25%, Albańczycy, że 40%. Tak, czy inaczej, biorąc pod uwagę obecne trendy demograficzne, Albańczycy za jakiś czas mają szansę zdominować Macedończyków i państwo słowiańsko-chrześcijańskie przeobrazić stopniowo w islamsko-iliryskie, realizując tym sposobem wizję Wielkiej Albanii. Z rozmów z Macedończykami wynika jednak, że Albańczycy nie stanowią w ich oczach jednorodnej populacji, albowiem dzielą się na Albańczyków „naszych” (oswojonych, udomowionych, mówiących po macedońsku) oraz „nienaszych” zamieszkujących głównie zachodni pas ciągnący się od Strugi po Kumanowo. Jednym słowem: etnoprocenty, najczęściej te wydumane, wzięte z sufitu, zrodzone w czasie alkoholowych libacji i posiedzeń przy ciepłym piwie z plastikowych butelek, decydują o kształcie polityki na Bałkanach. Decydują o znakach na ziemi i niebie. Etniczne proporcje nabierają tutaj cech niemalże sakralnych i decydują o tym, kto ma większe, a kto mniejsze prawo do życia pod kawałkiem bałkańskiego nieba.

Flaga macedońska. Na pierwszy rzut oka kojarzy się ona z estetyką flag państw Dalekiego Wschodu: Japonii i Korei. Chwilę później dochodzi się jednak do wniosku, że stanowi ona niezwykle udany wyznalazek speców od *Public Relations*, znawców technik organizacji najbardziej udanych i sympatycznych aranżacji społecznej przestrzeni. W oficjalnej fladze macedońskiej z ośmioramienną złotą gwiazdą (uwaga redukcja promieni z 16 do 8 pod naciskiem Greków, nieoficjalna wersja zawiera nadal 16 promieni) znajduje się tak niesamowity ładunek optymizmu i pogody ducha, że jest ona pod tym względem bezkonkurencyjna na skale Europy, może nawet całego świata. Flaga macedońska, zazwyczaj o wielkich rozmiarach, dumnie powiewa we wszystkich miejscach publicznych bez względu na to, czy jest święto państwowe, czy go nie ma. Flaga macedońska zapada w pamięć, sprawiając, że każda myśl o Macedonii jest z definicji pozytywna. Nie ma na niej żadnych drapieżnych, dwugłowych orłów (Albania, Serbia) czy lwa widniejącego na herbie Bułgarii. W tym sensie jest ona dość podobna do greckich symboli narodowych i nie jest to zapewne podobieństwo przypadkowe.

Fobie. Gdyby wszystkich psychologów, psychiatrów i psychoanalityków zawieźć na rok na Bałkany, to idę o zakład, że część uciekłaby stamtąd w popłochu po kilku dniach, a druga część po roku doszłaby do wniosku, że należy wnioskować o zatrudnienie kolejnych specjalistów od poplątanych ludzkich umysłów. Bałkany to bowiem królestwo fobii, urazów i niechęci. Idę o zakład, że nie znajdzie się ani jeden Bałkańczyk, który świadomie lub nieświadomie nie nosi w sobie żadnych fobii do innych narodów z regionu lub spoza regionu Bałkanów. Jestem przekonany, że 99% wszystkich bałkańskich fobii bazuje na „niebudzących żadnych wątpliwości” niegodziwościach, których przez ostatnich prawie dwa-trzy tysiące lat dopuścili się członkowie innych, najczęściej sąsiednich narodów. Idzie o masowe

mordy, zagrabione ziemie, skradzione stada owiec, zdeptany trawnik i niespłukaną toaletę. Chodzi dosłownie o wszystko i o wszystkich. I oficjalnie o żadnych fobiach nie ma mowy, bo narody bohaterów nie znają lęku. Tutaj w grę wchodzi tylko „historycznie uzasadnione” pretensje. Tymczasem wszyscy przeżywają na co dzień swoje stany lękowe, nad którymi są w stanie zapanować tylko wówczas gdy piją rakiję, tańczą koło lub oglądają tandetne bałkańskie telewizje muzyczne. W najmniejszym stopniu dotyczy to Albańczyków i Cyganów, obecnie może jeszcze Boszniaków (Muzułmanów bośniackich). Albańczycy żyją w przekonaniu, że najgorsze w historii mają za sobą, a obecnie mogą jedynie przy pomocy swoich żon i ich przepastnych łon powiększać swoje terytorium, które – rzecz jasna – od zarania dziejów było ich, ale pozostawało pod okupacją serbską, grecką, czarnogórską, macedońską. Cyganie, w moim przekonaniu, w ogóle nie myślą w tych kategoriach. Mam nadzieję, że nie zostanie to odebrane jako rasizm, ale oni żyją w równoległym świecie bez granic, bez terytoriów, bez pojęcia własności z wyciągniętą ręką po wszystko, co im się akurat spodoba, z pretensją do całego świata, że ich nie żywi i nie ubiera tak, jakby oni to sobie wymarzyli. Boszniacy po wojnie z lat 1992-1995 umacniają swoją pozycję w Bośni i Hercegowinie, która za kilkanaście lat z państwa federalnego stanie się narodowym państwem bośniackich Muzułmanów z dwiema mniejszościami narodowymi (serbską i chorwacką), które topnieć będą z roku na rok. Cała reszta żyje w strachu, karmi się nim, karmi nim swoje dzieci od kołyski, zdręcza starców, by ci opowiadali im o tym, jak niegodziwi byli ich sąsiedzi. Nawet psy jak szczekają, to ze strachu, z podwiniętymi ogonami. Macedończycy boją się Albańczyków, bo chcą im odebrać ich własne państwo albo przynajmniej jego połowę (na początek). Boją się Greków, bo Ci robią im czarny PR na świecie. Boją się Serbów, bo Ci nie uznają niezależności Cerkwi macedońskiej, wspieranej tak ofiarnie przez... macedońskich komunistów. Trochę boją się Bułgarów, bo Ci nie uznają ich za osobny naród. Serbowie oficjalnie nikogo się nie boją, ale wciąż oskarżają o spisek przeciwko sobie cały Zachód i Watykan oraz Chorwatów i Bułgarów plus tzw. wewnętrznych obcokrajowców, czyli wszystkich Serbów – zdrajców Serbii. Do tego dochodzi zagrożenie ze strony tzw. zielonego mostu (muzułmańskiego), czyli Tirany-Prisztiny-Sarajewa-Ankary. Węgry wystraszył swego czasu śmiertelnie niejaki Herder, który stwierdził, że nieuchronnie rozpląną się oni w słowiańskim morzu, niczym sól w wodzie. Węgrzy boją się zatem Słowian, ale nigdy się do tego nie przyznają. Nie boją się tylko Polaków, bo nie uważają ich za Słowian, a poza tym niejedno wino z nimi wypili i niejedną kroplę krwi wspólnie przelali. Bułgarzy boją się sturczenia w rozciągniętym w czasie procesie demograficznym. Gdyby tylko mogli wysterylizowaliby wszystkie tureckie kobiety mieszkające w Bułgarii plus wprowadziliby zakaz małżeństw mieszanych i w ogóle wszelakich stosunków Bułgarów z Turkami.

Gevgelija. To miasto na granicy macedońsko-greckiej, którym spędziliśmy prawie dwie godziny w okrutnym upale, oczekując na pociąg międzynarodowy do greckich Salonik (Sołunia). Wielki dworzec kolejowy i maluteńka kasa biletowa uzbrojona w żeliwną kratę. Do tego czynna tylko 10 minut przed odjazdem pociągu. Bilety wypisywane ręcznie. Na ścianach wiszą skserowane rozporządzenia kolejowe, informujące o jakich zakazach oraz utrudnieniach w podróży. Jedyną dostępną tam rozrywką był kran z ciepłą wodą, pod który co jakiś czas można było wkładać głowę w celu uniknięcia zagotowania się mózgu. Krótka eskapada w miasto pozwoliła stwierdzić, że nic tam nie ma poza dwoma sklepikami spożywczymi i ulicą Marszala Tity (chyba jest w każdej macedońskiej dziurze). Dopiero po powrocie do kraju dowiedziałem się, że miasto to stanowi macedońskie Las Vegas, w którym mieści się najszynniejsze na całych Bałkanach kasyno.

Greci głupaci. Takiego sformułowania na określenie południowych sąsiadów użył sympatyczny Macedończyk, z którym prowadziliśmy dyskusje polityczne na dworcu w Veles. Grecy są źli, bo brudzą

Macedończykom na forum międzynarodowym, bojkotują nazwę ich państwa, wetują akces do NATO i UE, bo są nierobami wywołującymi kryzys na skalę ogólnoeuropejską i światową. W opinii naszego rozmówcy, statystyczny Grek pracuje max. 5 godzin dziennie. Od 9 do 12, potem ma sjęstę, a po sjęście tylko najbardziej wytrwali wracają do pracy. Reszta albo śpi, albo pije, albo się bawi. Kilka dni później zawitaliśmy do Salonik. Tam przypadkowo napotkany Grek w autobusie, którym jechaliśmy na gapę, odczuł potrzebę konwersacji ze mną. Łamanym niemieckim wytłumaczył mi, że kilka lat pracował w Niemczech. Nagle zrobił się cały czerwony, oczy wyszły mu na wierzch i wówczas wykrztusił z siebie następujące słowa: „aż 8 godzin dziennie!, 8 godzin dziennie musiałem pracować!”. To rzeczywiście skandal. Sprawą powinna zainteresować się mieszana grecko-niemiecka komisja.

Islam i chrześcijaństwo. Obydwie religie współistnieją od wieków na Bałkanach i to niekoniecznie na zasadach swoi-obcy, ale raczej na zasadzie swoi-mniej swoi. Islam przyjmowali bowiem krewni kierując się różnego rodzaju pobudkami, w tym tak prozaicznymi jak zwolnienia podatkowe i przywilej nieoddawania najmłodszego syna do szkoły janczarów, czyli do woja osmańskiego. Muzułmanie stawiają swoje „rakiety” (minarety) na złość chrześcijanom (na ogół prawosławnym), ci zaś budują kolejne cerkwie i otaczają wyjątkową opieką te już istniejące lub też stawiają gigantyczne krzyże na szczytach gór (*vide* ponad czterdziestometrowy krzyż ustawiony na wzgórzu Vodno, nieopodal Skopje, na terenach zamieszkałych przez muźmańskich Albańczyków). Niektóre z cerkwi pełnią rolę prawdziwych barykad cywilizacyjnych, jak ma to miejsce np. w Kosowie. To są ostatnie pozostałości serbskiego prawosławia (i europejskiej cywilizacji!) na tych ziemiach.

Katowice w Macedonii. W Macedonii najbardziej znanym polskim miastem są... Katowice. Popularność tego śląskiego miasta jest szczególnie duża wśród kolejarzy i ich rodzin. Ponieważ nazwa tego miasta pojawiała się regularnie w rozmowach z Macedończykami, można było odnieść wrażenie, że wszyscy oni dysponowali pozwoleniem na wjazd do Polski maksymalnie na odległość 70 km. Potem musieli wszyscy z jakichś względów zawracać do kraju, to znaczy do Jugosławii. Niewykluczone też, że kiedyś kursował jakiś „pociąg przyjaźni” na linii Skopje – Katowice, który nie zatrzymywał się nawet w Belgradzie, tylko wioził chętnych poznania Polski prosto do Katowic. Możliwe są także inne scenariusze: rolniczych Macedończyków zwożono masowo do Katowic, żeby zobaczyli potęgę przemysłu i by na widok socprzemysłowego postępu zgięty się im ich południowosłowiańskie kolana. Być może Macedończykom pokazywano Katowice na złość Warszawie, bo była to jakaś wymyślna intryga Tity, kto wie... Jedno jest pewne, i tego akurat Macedończycy zapewne nie uświadamiają sobie: niezwykle podobieństwo Macedończyków i Ślązaków. I jedni, i drudzy w czasie wojen toczonych w XIX i XX wieku znajdowali się w dwóch lub trzech przeciwstawnych obozach. Strzelając do przeciwnika miało się dużą szansę zabicia swojego rodaka, wcielonego na siłę do jednej z dwóch lub trzech armii. Zarówno Śląsk i Macedonia znajdują się obecnie w kilku państwach. Część Ślązaków marzy o autonomii lub nawet niepodległości, zaś Macedończycy nie przestają kolportować map i naklejek z wizerunkiem Wielkiej Macedonii obejmującej poza obecną Republiką Macedonii, spory obszar Macedonii Egejskiej (Grecja), Macedonii Piryńskiej (Bułgaria) i skrawek ziem albańskich (Mała Prespa, Golo Brdo). Ślązacy i Macedończycy są tak samo nieufni wobec swoich sąsiadów, mają też podobne poczucie humoru. Łączy ich także specyficzny stosunek do religii...

Korupcja i walka z nią. Bałkany oficjalnie walczą z korupcją, bo oczekuje tego od nich Unia Europejska, do której wszyscy, łącznie z Serbami, chcą się dostać (choć ta łajba już dawno zaczęła nabierać wody od wschodnioeuropejskiego ciężaru i towarzystwa, które zamiast wypompowywać wodę z układu woli pić wódkę/rakiję/palinkę czy inny samogon). Urzędy oficjalnie zachęcają obywateli oraz

turystów do tego, żeby przestać dawać w łapę, ale jednocześnie puszczać w ich stronę „oko”, sugerując, że to przecież niewykonalne, bo od tysiąca lat dawano i brano, i jakoś nikt w tym nie widział nic złego. W osmańskiej Turcji za pieniądze można było kupić wszystko, nawet najwyższe urzędy dla niepełnosprawnego intelektualnie potomstwa. Kupowano nawet stanowiska kościelne, a Pan Bóg temu wszystkiemu najwyraźniej błogosławił (albo przymykał oko), gdyż nie odnotowano na Bałkanach żadnego potopu, a trzęsienie ziemi miało miejsce jedynie w Macedonii w XX wieku. Od 2010 roku do walki z korupcją przystąpiły także megaskorumpowane koleje serbskie, kwintesencja powszechnego łapówkarstwa. Na każdej kasie widniała majestatyczna informacja, że bilety należy kupować w kasie, a za jazdę bez ważnego biletu lub próbę korupcji grożą, cytując „olbrzymie kary”. Ale i tak, nie mała część kasjerów zachęca podróżnych do „kupowania” biletów w pociągach, niejednokrotnie konfidencjonalnie informując konduktora o wpuszczeniu na pokład bezbiletowców.

Kuba w Somborze. To małe miasteczko w Wojwodinie. Spokojne, ze szpalerami drzew wzdłuż ulic. Z sennym śródmieściem, kościołami różnych wyznań. Ze specyficzną knajpą w okolicy bazaru, w której „Jelenia” można było wychylić za 2,30 PLN. Półzimnego, półciepłego. W knajpie syf jak w cieszyńskim „Kurczaku”. Człowiek przykleja się do wszystkiego, czego się dotknie. Kibel jest okrutny. Barman nalewa po raz milionowy kielona z rakiją jako przystawkę do „Jelenia”. W roku zdezelowany telewizor coś syczy, coś emituje w próżnię, bo nikt go nie ogląda. Siedzimy przy stole zawieszani w jakimś bezczasie. Tak jakby to była „czarna dziura”. Bez czasu, bez przestrzeni. Tylko brudna szmata, którą kelnerka przemywa od niechcenia przypadkowe meble uprzytamnia nam, że jesteśmy śmiertelnikami. Tak, w tym barze było jak w narożnej knajpie w Hawanie. Jeden facet miał nawet kapelusz prawie kubański. Po wyjściu z baru, uderzenie ponad 40 stopniowego upału. I Wojwodina znów nam się przyśniła, nas zauroczyła i zaprowadziła na dworzec kolejowy, z którego rzadko odchodzą pociągi. Jeśli Unia Europejska się kiedyś rozpadnie i będzie trzeba powołać nową Unię, u nas na wschodzie, proponuje trzy kandydatury na stolicę: Sombor (bo wiadomo), Kosowska Mitrowica (żeby urzędnicy nie byli w stanie uciec od prawdziwych problemów i nie pieprzyli o wielokulturowości), Szeged (bo to ani Europa Środkowa, ani Bałkany).

Ludobójstwo (*genocida*). Masowe ludobójstwo to temat numer jeden na Bałkanach. Założenie jest takie, że masowo, to znaczy bez względu na to, czy starcy, kobiety i dzieci mordują tylko nasi najwięksi wrogowie, którzy od zamierzonych czasów pozbawieni są wszelkich skrupułów. Masowe ludobójstwo popełnione na własnej grupie narodowej to wystarczająca legitymacja do domagania się szczególnych praw i przywilejów, stąd też przedstawiciele poszczególnych narodów niespecjalnie żałują Tych swoich rodaków, którzy padają masowo w pogromach. Ludobójstwo na Bałkanach to niezastąpiona niczym inspiracja twórczości literackiej i aktywności politycznej. Ludzie ginęli, giną i muszą bowiem ginąć, bo takie jest odwieczne prawo (zobacz *ważenie na Bałkanach*). Ludobójstwo jest albo teatrem, albo igrzyskami. Nigdy zaś nie jest to zwykłe morderstwo masowe. Ludobójstwo bałkańskie, jak pokazują liczne dowody (zob. książka Slavenki Drakulić pt. *Oni nie skrzywdziliby nawet muchy*), nie jest domeną wyrafinowanych zabójców, profesjonalistów zadających innym śmierć z taką samą łaźnością, z jaką wychylają kolejny kieliszek rakii i zjadają arbuzem. W tym ludobójstwie biorą udział: nauczyciele, fryzjerzy, kierowcy, kelnerzy, szewcy. I wszyscy po dokonaniu zbrodni wracają spokojnie do swoich warsztatów pracy. Jak gdyby nigdy nic się nie stało. Jakby wrócili z nudnego meczu piłkarskiego.

Pamięć (*Ne zaboravi!*). Pamięć, pamiętliwość to kluczowe kategorie umożliwiające zrozumienie Bałkanów i w zasadzie całej Europy Środkowo-Wschodniej. Tutaj żyje się głównie przeszłością, terazniej-

szość jest bowiem zbyt niepewna, nieokreślona, ulotna. Przyszłości nie ma i to wiedzą wszyscy. Jeśli jest, to tylko na zachód od Bałkanów, w Niemczech, Austrii, we Włoszech. Ale na Bałkanach jest tylko przeszłość, nawet jeśli miałyby zostać ona przeniesiona w czasie na jutro, pojutrze czy za miesiąc. Dosłownie wszystko ma swój historyczny kontekst, przyczynę, wreszcie historyczny jest powód do tego, by komuś po pijaku dać w ryj. Wszyscy skrzętnie pielęgnują pamięć, najczęściej o doznanych krzywdach. Skrajnie zideologizowana historia, w której fakty mieszają się z legendami, relacje profesjonalnych historyków z pijackimi opowieściami, rozstrzyga o wszystkim. Historia jest ważniejsza od polityki, często także od religii. Największym błogosławieństwem dla całych Bałkanów byłaby masowa amnezja. Amerykanie zamiast zrzucać w 1999 bomby na Jugosławię, powinni byli rozpylać w powietrzu proszek proamnezyjny. To rozwiązałoby większość konfliktów ba Bałkanach, których przyczyną obok chronicznej nudy i strachu są historyczne koszmary, codziennie reaktywowane w indywidualnej i zbiorowej pamięci. Nie zapomnimy! – wykrzykują przywódcy polityczni, jakby podświadomie bali się tego, że mogą czegoś sobie kiedyś nie przypomnieć. Stąd taki zalew różnego rodzaju pamiętników i napisów na murach. Wielu bowiem ma świadomość tego, że rakija skraca pamięć, a pić ją muszą, bo to tradycja silnie zakorzeniona w... historii. Musiały ją wziąć pod uwagę nawet władze osmańskie, bo gdy surowo zakazywały zislamizowanym Słowianom jeść świnie, to przymykały oko na ewidentne pijaństwo (co na to Prorok Mahomet?).

Papier toaletowy w Suboticy. Na dworcu kolejowym w Suboticy (Wojwodina – Serbia) znajduje się wyjątkowy kibiel, do którego za jedyne 20 dinarów (80 groszy) otrzymuje się bilet wstępu z numerem umożliwiającym prowadzenie zarządowi ubikacji odpowiednich statystyk w przekroju tygodniowym, miesięcznym i rocznym. Statystyki te są następnie przekazywane do Belgradu, a z Belgradu zbiorczy protokół ze wszystkich ewidencjonowanych kibli trafia do jakiejś miejscowości we Francji, Szwajcarii czy Belgii i tam zliczany jest do ogólnoswiatowej statystyki srania i sikania (na pewno istnieje jakiś angielski skrót, ale nie wiem jaki). Bilety wydaje ta sama osoba, która racjonuje papier toaletowy. Ta ostatnia czynność jest szczególnie interesująca, gdyż pozostanie zapewne tajemnicą obsługi, dlaczego standardowy przydział wynosi pięć owinięć na nadgarstku, co w sumie daje ok. 80-85 cm taśmy (żaden tam vel vet trzylistkowy, tylko zwyczajny makulaturowy, rwący się i posiadający duże właściwości ściernie dupości).

Sandanski – bułgarskie San Francisco. To miasteczko w południowo-zachodniej Bułgarii, niedaleko od granicy z Grecją. Mieliśmy tam dojechać stopem z granicy, ale okazało się, że trafiliśmy na „czarną” taksówkę prowadzoną przez Cygana. W volkswagenie kombi mieściło się sześć osób. Poza Jovanką, Stanisławem i mną, był naturalnie Cygan jako kierowca, jakieś małe dziecko oraz starzec. Wiedziałem od razu, że będą z tego kłopoty, ale cóż, zatrzymał się, więc wsiedliśmy. Starzec z dzieckiem po dojechaniu do Sandanskiego wyszli z samochodu, a Cygan miał wieźć nas na dworzec kolejowy zaczął tankować paliwo (z papierosem w ustach), kupować coś w sklepie itd. Ostatecznie wyszło na to, że chciał nas zawieźć na szczyt jakiejś góry i zgarnąć od nas kilkaset euro. Po awanturze w samochodzie, zgodził się nas zawieźć do centrum miasta (czyli z powrotem) za jedyne... 50 euro. Dostał ostatecznie 3 euro i zgłoszenie na policję, która doskonale wiedziała o kogo chodzi. W każdym razie wszyscy po kilku godzinach dotarliśmy na dworzec kolejowy w Sandanskim, który stanowił istną oazę w 45 stopniowym upale. Był tam kran z wodą, którą można było się nieustannie polewać oraz sklepik dworcowy z zimnym piwem i ciepłymi przekąskami. Był cień rzucany przez drzewa i budynek dworcowy, było towarzystwo kilku mężczyzn, na których zrobiliśmy wrażenie wymieniając wydarzenia z historii Macedonii i próbując rozmawiać z nimi po bułgarsku, rosyjsku, czesku i innych językach sło-

wiańskich. Na koniec dnia otrzymaliśmy w prezencie przejazd żiguli po mieście i dwa kilogramy pomidorów.

Służby mundurowe. Na Bałkanach roi się od przedstawicieli różnych służb. Poza wojskiem, policją, strażą graniczną, celną i miejską, strażakami i kolejarzami, część cywilów munduruje się we własnym zakresie, na własną rękę. Najczęściej są to jakieś niemieckie lub amerykańskie łachy z demobilu. Bałkany to jedna wielka formacja militarna i paramilitarna, to nieregularna armia rozrzucona po dworach kolejowych, knajpach, burdelach, sklepach spożywczych, wejściach na prom, publicznych kiblach, stadionach piłkarskich, prowincjonalnych kinach, punktach sprzedaży pamiątek itp. miejscach. Za rezerwistów robią z kolei wszyscy ubrani w dresy i laczki. Jeśli ktoś odziany jest w normalne spodnie i marynarkę, istnieje podejrzenie, że może być szpiegiem. Druga możliwość jest taka, że właśnie bierze ślub, trzecia, że zamierza umrzeć (do trumny nie wypada kłaść się w dresie lub ciuchach z demobilu). Przedstawiciele służb mundurowych (tych prawdziwych) zazwyczaj zadają pytania od niechcienia, półgębkiem, w mało zrozumiały sposób, jakby chcieli powiedzieć, że poświęcają komuś mało energii, bo nie jest jej wart. Pytając nierzadko palą papierosy (na Bałkanach palą je wszyscy powyżej 5. roku życia). Mimowolne lekceważenie okazywane im w takich sytuacjach skutkuje jednak z reguły agresją. Najlepszym tego przykładem był „urzędnik” graniczny nieistniejącego państwa o nazwie „Kosova”, który sprawdzał nasze paszporty na granicy serbsko-macedońskiej, która miała w swojej pierwotnej nazwie nazwisko jakiegoś innego mundurowego (Đeneral Janković). Jak tylko poprosiliśmy go o to, by nie zapaprał nam paszportów stemplem nieistniejącego państwa wykonanym zapewne z ziemniaka lub innej rośliny pastewnej, bo w oczywisty sposób utrudni nam to powrót do Serbii, zaczął drzeć ryj w niezrozumiałym dla nas języku. Po angielsku potrafił jedynie wydukać: *I am boss here*. I to prawda, był szefem tej czarnej dziury w sercu Bałkanów, opanowanej do spółki przez lokalnych handlarzy żywym towarem, narkotykami (i sam Allah raczy wiedzieć czym jeszcze), amerykańskie wojsko z „miasta” Bondsteel położonego koło miasta Uroševac oraz niemieckich i austriackich inżynierów budujących autostrady.

Starzy ludzie. Bałkany są miejscem, gdzie starzy ludzie odziani bardzo podobnie bez względu na to, czy jest to Rumunia, Serbia, Albania czy Macedonia, suszą się w słońcu tuż obok papryk, bakłażanów i innych warzyw. Siadają na przydomowych ławeczkach, murkach, schodach i w innych miejscach, i chłoną słoneczne ciepło, spełniając jakby funkcję kolektorów słonecznych. Wygląda to tak, jakby zbierali zapas ciepła na mroźną zimę, a ich ciała miały możliwość akumulowania ciepła przez tak długi okres. Starzy ludzie pozostają w bezruchu, jak jaszczurki wylegujące się na skałach, ciesząc się z możliwości stałej obserwacji otoczenia. Głowy babć standardowo owinięte są chustami, najczęściej czarnymi, panowie mają kapelusze i wytarte, połatane marynarki. Zazwyczaj przesiadują w kilkuosobowych stadach, tworząc coś w stylu spontanicznych komitetów, w których dyskutuje się o różnych sprawach.

Ubikacje. Ubikacje na Bałkanach dzielą się tylko na dwie kategorie. Pierwszą stanowią miejsce, o którym wszyscy normalni ludzie starają się zapomnieć złożywszy tam choćby jedną wizytę. Są to zazwyczaj dziury w podłogach z zarysowanym w postaci odpowiednich wyżłobień pasem startowym naprowadzającym, przepraszam za szczegóły, odbył we właściwe miejsce. Liczba trafień nie wzrasta zazwyczaj powyżej 50%, stąd też odwiedzający te przybytki mają wątpliwą przyjemność zaznajomienia się z dorobkiem i twórczością swoich poprzedników. Permanentne i zupełne osranie tych miejsc ma na celu uświadomienie sobie, na jakim świecie żyjemy i że nie ma co liczyć na poprawę losu w życiu doczesnym. Ubikacje tego rodzaju pełnią poniekąd funkcje profetyczne. Zapowiadają bowiem

przemijanie tego, co ziemskie i nastanie tego, co niezemskie. Uświadamiają nam bowiem istotę nędzy naszej tymczasowej i ziemskiej egzystencji. Obywatele Niemiec i Holandii nie doświadczają tego przywileju (to tak na pocieszenie). Standardowa bałkańska toaleta ze zużytym papierem toaletowym wrzucanym do kosza na śmieci, z muchami wielkości wróbla i wodą w 1,5 litrowych butelkach (zamiast spłuczki i umywalki), to estetyczne piekło, z którego powraca się na zawsze odmienionym. Po wyjściu z tego przybytku, cały świat wydaje się być piękniejszy. Drugą kategorię kibli stanowią tzw. kibele pokazowe, nie do użytku. Okazywane są one specjalnym delegacjom (zazwyczaj w składzie międzynarodowym) na dowód tego, że Bałkany są już mniej bałkańskie. Jednym z takich przykładów jest kibel dworcowy (pardon: ubikacja, toaleta) w Dimitrowgradzie (granica serbsko-bułgarska, miasto na trasie Sofia-Pirot). Jest on 24h/dobę strzeżony przez panią oddelegowaną przez władze kolejowe do pełnienia odpowiednich funkcji, które i tak kilkakrotnie przerastają jej możliwości percepcyjne. Dostęp do tej ubikacji dla zwykłych ludzi (podróżnych) jest w zasadzie niemożliwy, a każda muszla klozetowa i pisuar bronione są przed nimi jak obiekty strategiczne, ważne dla obronności kraju. Jest to swoiste sanktuarium klozetowe, słynące z tego, że nikt jeszcze nie wysikał się tam, ani nie zrobił tak zwanej kupy. Myślę nawet, że zrobienie najmniejszej kupy w tym przybytku, byłoby komentowane w miejscowej prasie przez co najmniej pół roku. Ale cóż to, skoro delegacja unijna mająca przesądzić o członkostwie Serbii w UE może lada dzień nawiedzić kibel w Dimitrovgradzie. A wtedy całą Europą dowie się o jego maksymalnej sterylności i nieużyteczności jednocześnie. I to ostatecznie przesądzi o członkostwie tego kraju w Unii.

Ubiory dresy i laczki. Bałkańscy mężczyźni, o ile nie są ubrani w tradycyjne ludowe stroje (co zdarza się coraz rzadziej, zwłaszcza w większych miastach) lub wojskowo-kolejowe uniformy, obowiązkowo przywdziewają jakieś tandetne dresy i obowiązkowe laczki ze skaju. Wszystko produkcja chińska za ok. 3 euro/komplet. Zaletą takiego ubioru jest to, że jest tani oraz nie krępuje zbytnio ruchów, co w przypadku mordobicia w knajpie lub na jej obrzeżach jest niezwykle ważne. Większość bałkańskich mężczyzn w przedziale wieku 12-62 lata wygląda tak samo, jakby wszyscy dostali swoje łachy z przydziału z chińskiego statku, który rozbił się gdzieś na Adriatyku.

Veles (dawniej: Titov Veles). To niewielkie macedońskie miasteczko pozornie nie wyróżnia się jakoś szczególnie na tle innych macedońskich, gorących i sennych miasteczek z pomalowanymi olejną farbą krawężnikami, z wszechobecnymi reklamami piwa „Skopsko”, wąsającymi się psami, skromnymi cerkwiami i babciami w czarnych chustach. Tymczasem wystarczy zatrzymać się na miejscowym dworcu na dłużej niż 20 minut, a ma się niemal pewność nawiązania kilku znajomości z miejscowymi i przyjezdnymi Macedończykami. Podchodzą sami, zagadują, słowem dotykając nieznanych przybyszy, którzy prawdopodobnie przez przypadek wysiedli w tym mieście w drodze do Skopje lub Ochrydu. Nie dowierzają, gdy mówi im się, że to nie jest żaden przypadek, lecz najbardziej świadomy wybór miejsca, w którym skupia się nad wyraz pozytywna energia. I nie trzeba nigdzie chodzić, wystarczy zostać na dworcu kolejowym, w tym centrum lokalnego wszechświata. Lekko usyfionym, podupałym, ale zawsze wyjątkowo naśloniecznym, z pięknym widokiem na góry. Na miejscu jest wszystko: życzliwi ludzie, kran z bieżącą wodą, ubikacja ze szlauchem, pod którym można się przy odrobinie gimnastycznych zdolności wykąpać się. W odległości 30 metrów jest sklep spożywczy z zimnym piwem, chlebem i czymś do chleba, z ciepłymi burkami. 50 metrów od dworca jest knajpa z ciepłym żarciem. Dworzec w Veles i jego najbliższa okolica tworzą, jednym słowem, swoisty mikrokosmos, w którym należy pozostać, by czuć się umiarkowanie szczęśliwym. Zainteresowanym polecam świetny film Svetozara Ristovskiego pt. *Iluzija*, którego akcja toczy się w Veles, częściowo także na dworcu kolejowym. Film jest smutni i melancholijny. Nie ma *happy endu*, jak większość bałkańskich filmów

stanowiących antynomię kina amerykańskiego. Moralny i intelektualny syf, mieszanina alkoholizmu, prostytucji, przemocy domowej i szkolnej, a także wszechobecnych układów i układzików zilustrowany przez Ristovskiego sprawia, że z kina chce się wyjść. I wychodzimy.

Wagi. W każdym powiatowym mieście znajdzie się przynajmniej jedna osoba, która oferuje przechodniom możliwość zważenia się, zazwyczaj na jakiejś starej zdezelowanej wadze wskazującej wagę w z dokładnością do 10 kilogramów. W moim przekonaniu nie są to spontaniczne akcje miejscowych obywateli, ale zaplanowana w szczegółach akcja ogólnobałkańskiego ważenia się od Turcji do Węgier. Komisarze wagowi delegowani są na zasadzie telepatycznej z bliżej nieustalonego centrum (osobiście obstawiałbym Kruševo w Macedonii, bo to najwyższej położona miejscowość na Bałkanach). Ważenie niby odbywa się na zasadzie całkowitej dobrowolności, ale liczba ważących w niektórych miejscowościach dorównuje liczbie ważonych, stąd uniknięcie zważenia jest mało prawdopodobne. Zapyta ktoś, po co to wszystko? Otóż powód jest zasadniczo jeden. Bałkany mogą udźwignąć tylko ileś tam bilionów ton ludzi. Potem zaczynają się kolejne wojny w celu zredukowania ogólnoregionalnej nadwagi. Innego sensownego usprawiedliwienia dla tego typu czynności nie widzę. Ale proszę mnie nie pytać ile to jest bilionów, miliardów czy milionów ton, bo tego akurat nie wiem. Jest to tajemnicza bałkańska masa krytyczna, po przekroczeniu której ludziom zachciewa się wyprawiać do sąsiada z siekierą zamiast z rakiją. Zapytajcie amerykańskich lub radzieckich uczonych, oni na pewno znają rozwiązanie tej kwestii.

Władcy arbuźów. Arbuzy na Bałkanach sprzedaje się wszędzie. Wydaje mi się, że ludzie na Bałkanach kupują je i jedzą nie tyle z przyjemności, co dla tradycji (lub z nudów). Bo kilkaset lat temu ich przodek też jadł arbuzy. Sprzedawcy arbuźów pozostają w jednym miejscu do momentu wyprzedania ponad 80% swojego towaru. Śpią na nich, grają w karty, zjadają z nudów. Arbuzy jednak muszą być sprzedawane, bo bez nich prawdopodobnie Bałkany utraciłyby licencję na swoją bałkańskość. Muszą się powoli rozkładać, bo bez tego zapachu Bałkany przestałyby być sobą.